



„Żołnierz armii wrzesniowej się nie poddał i tam gdzie go losy wojny rzuciły, tam zawsze myślał o walce...”

Fot. — Archiwum

Dni klęski - dni chwały

Rok temu redakcja miesięcznika „Nurt” wraz z Wielkopolskim Towarzystwem Kulturalnym, Związkiem Bojowników o Wolność i Demokrację oraz Wydawnictwem Poznańskim ogłosiła konkurs na wspomnienia kombatantów — byłych uczestników kampanii wrzesniowej z 1939 r. Konkurs przyniósł obfity plon — 122 prace. Wkrótce bo 1 września, w 30 rocznicę pamiętnej kampanii zostaną ogłoszone jego wyniki. Z redaktorem naczelnym „Nurtu” Krzysztofem Kostyrką rozmawiamy o tym, jaki obraz ówczesnych „Dni klęski — dni chwały” jawi się z lektury konkursowych wspomnień.

— Może kilka słów charakterystyki uczestników konkursu. Jakiego kręgu wojennej przeszłości dotyczyły te wspomnienia? I jeszcze — jakie główne nurty tematyczne ujawniły się we wspomnieniach?

— Spośród 122 nadesłanych prac 20 od razu po przeczytaniu zostało odłożonych jako opracowane na podstawie znanych już materiałów bądź też jako wnikliwie tylko stopniowo dotyczące kampanii wrzesniowej. Kolejne 22 prace dotyczyły głównie tematyki okupacyjnej, w małym zaś stopniu Września. Ich autorom zaproponowano więc wzięcie udziału w innym naszym konkursie pod tytułem „Losy okupacyjne”.

Rozmiar wspomnień? Od 3 do 300 stron, najczęściej jednak były to opracowania 30—40-stronicowe. Autorzy są bardzo zróżnicowani pod względem socjalnym, tak samo reszta pod względem stopni wojskowych jak i rodzajów broni. Nie ma wśród nich jednak wyższych oficerów, natomiast są oficerowie, podoficerowie i żołnierze. Badażże wszystkie rodzaje broni a więc piechota kawaleria, czołgarki, artyleria, służba pomocnicza, lekarze wojskowi, sanitariuszki, od dział nieregularne jak bataliony obrony narodowej, służba graniczna. Przeważają oczywiście żołnierze regularnych jednostek wchodzących w skład Armii „Poznań”. Jest to więc przede wszystkim obraz kampanii wrzesniowej z terenu Wielkopolski.

— Czy z tego wynika, że jest to dość pełny obraz działań Armii „Poznań”?

— Nie ma tu spojrzenia na cały teatr działań tej Armii, nie ma bowiem wśród autorów wyższych oficerów, zwłaszcza sztabowych. Dominuje spojrzenie bezpośredniego uczestnika walk, i na tym właśnie polega wartość konkursu. Nie przy nosi on rewelacji historyków wojny, natomiast jest bogaty w szczegóły, realia tamtych dni świetnie obrazuje to, jak wydarzenia odbijały się w świadomości ludzi walczących, ujawnia ich postawy, uczucia, myśli. Pokazane zostały ponadto mało znane historiom Września sprawy jak działalność batalionów obrony narodowej czy straży granicznej.

— Jakimi charakterystycznymi cechami wyróżniają się wspomnienia konkursowe?

— Relacje mają charakter bardzo rzeczowy i szczegółowy. Są to opowieści dobrych żołnierzy po polsku doświadczeni, świetnie znających rzemiosło wojenne, gorących patriotów. Wymagających wiele od siebie ofiarnych. Oburzają się na elementy bałaganu, z jakimi się spotykali, chcieli aby wszystko było porządnie przygotowane, aby przyniosło najlepszy efekt.

— Wspomnieliście o świadomości walczących ludzi. Jak to znalazło wyraz w ich wspomnieniach?

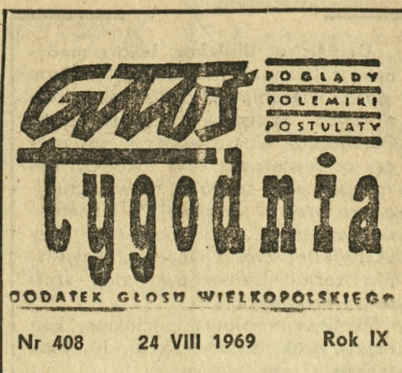
— Widać, że autorzy mieli wówczas jasną świadomość naszego zagrożenia przez Niemcy. Widzą i pokazują sytuację, w których niekon-

sekwentnie postępowało wobec V Kolumny, wobec organizacji niemieckich w Polsce, przypominają fakty niereagowania przez władze na różne sygnały zgłaszane przez Polaków.

Ludzie ci zdawali sobie sprawę, że walka toczy się o sprawy ostateczne, o istnienie narodu i że walka ta będzie ciężka. Widać wolę walki tych ludzi. Wylania się ze wspomnień ciekawe biografie. Na przykład powstańców wielkopolskich którzy odbyli kampanie wrzesniową, brali na koniec udział w obronie Warszawy, potem walczyli w par-

Kampania wrzesniowa w relacji jej uczestników

tyzantem w kraju albo za granicą (je dante — w Jugosławii). Inni dostali się do niewoli, ale zaraz po wyzwoleniu wracali i szli zagospodarować ziemię odzyskaną. Często kończyli swój wojenny szlak już w szeregach Ludowego Wojska Polskiego. Był to generalnie rzecz biorąc element za cięty, twardy nie rezygnujący z walki nawet w momencie zdawania broni. Już wtedy zmagali się między sobą jak kontynuować walkę. Jak pisał jeden z autorów wspomnień: „Żołnierz armii wrzesniowej się nie



WYDAWCA: GŁOS WIELKOPOLSKI

Nr 408 24 VIII 1969 Rok IX

poddał i tam gdzie go losy wojny rzuciły, tam zawsze myślał o walce”.

— Czy ci ludzie dziś, po 30 latach czy ją już spełnili w pełni swój obowiązek, czy pozostało w nich coś w rodzaju goryczy klęski, kompleksu przegranej?

— Z pamiętników wylania się żołnierzy i oficerów, którzy zrobili właściwie wszystko, co było wtedy możliwe, by odeprzeć inwazję wroga. Widać jednak także, iż zdawał on sobie sprawę z braku przygotowania państwa do wojny. Sami uczestnicy kampanii mają poczucie spełnionego obowiązku patriotycznego. Nie szcze dzili przecież krwi. Z pamiętników wylania się nam losy oddziałów, które krwawiły bardzo obficie, które traciły nawet połowę stanu osobowego.

Ale czasami przebiega też poczucie niedocenienia tego wysiłku, czemu trudno się dziwić, bo w powszechnej świadomości słabo utrwalili się fakt, iż Armia „Poznań” toczyła szereg zwycięskich walk. W ogóle zaś na Wrześnię patrzano przede wszystkim jako na klęskę orientacji politycznych, klęskę państwa i wojska polskiego. Nie doceniano zaś tego, że żołnierz polski toczył także sporo zwycięskich walk, że bronił się bardzo długo, dłużej niż na przykład żołnierz francuski.

— Co można dziś powiedzieć o dalszych losach konkursowych wspomnień?

— Dysponujemy materiałem, który stanowiłby podstawę wartościowej publikacji książkowej. Ukaże się ona nakładem Wydawnictwa Poznańskiego w 1970 r. Książka taka może być dobrym materiałem do pracy w szkołach, może stać się także podstawą pracy literackiej czy naukowej. Dla nas jako organizatorów konkursu jest to spełnienie obowiązku wobec tych, którzy bohaterstwo stawiali we Wrześniu na polach bitewnych, a których wkład nie był dostatecznie doceniony. Konkurs ujawnił nam wiele nazwisk zapomnianych. Ujawnił także sporo ludzi posługujących się piękną polszczyzną, operujących świetnym stylem. Mamy nadzieję, że z niejednym z uczestników konkursu będziemy kontynuować współpracę.

Rozmawiał:

MIECZYSLAW SKAPSKI

Jerzy Kochański

Jacek Kuźmin

Adwokat kwalifikacji

Czy oświata w naszym kraju potrzebuje adwokatów, dobrych adwokatów?

Zwykle tak się bowiem składa, że polska wyobraźnia publiczna niezmiennie kojarzy pracę z wydajnością, wydajność z postępem technicznym, a dopiero postęp techniczny z podnoszeniem kwalifikacji, ze stałym podnoszeniem poziomu powszechnej oświaty. Chyba słusznie. Też zaś logicznej kontemplacji towarzyszą nieustannie dyskusje o procesach integracyjnych, o humanistycznych stosunkach między ludźmi i o demokracji robotniczej w zakładzie.

Co daje jeden rok nauki?

Słowa „kształcenie — kwalifikacja” są u nas niezmiennie modne. Bo czyż trzeba udowadniać, czym jest oświata, czym będzie w przyszłości? A czyż trzeba dowodzić zależności ogólnego rozwoju społecznego od rozwoju gospodarczego, tego historycznego faktu, który w publicystyce ideologicznej nazywa się bazą materialną socjalizmu? Nam się to wydaje zbyt oczywiste. Postawmy jednak przysłówkową kropkę nad — i. Miejsce oświaty w ogólnym bilansie polityki społecznej, zależność tempa rozwoju gospodarczego od tempa rozwoju systemu kształcenia, nie zawsze bywały identyfikowane z istotną okolicznością wzrostu dochodu narodowego. Owszem mówi się o kształceniu w kontekście teraźniejszych i przyszłych potrzeb cywilizacji, potrzeb narodowych, rozumując niemal zawsze intuicyjnie wg marksistowskiej tezy, że praca kwalifikowana stanowi wielokrotną pracę prostą.

Doc. dr Leon Leja w swoich badaniach problemów oświaty stawiając pytanie o „ile wzrasta wydajność pracy dzięki oświacie i z jaką nadwyżką zwracają się państwu wydatki poniesione na wykształcenie?” — staje w rzędzie agitatorów oświaty dość nietypowych, chociaż bardzo pożytecznych. (To się zwie dopiero „nauka bliżej życia!”) Doc. dr Leon Leja powiada.

Srednia arytmetyczna wydajności pracy w zależności od wykształcenia i stażu pracy w przemyśle metalowym wynosi:

Dla robotnika po zasadniczej szkole zawodowej 110,7 proc., dla robotnika z wykształceniem podstawowym z kursami zawodowymi 105,0 proc., dla robotnika z wykształceniem podstawowym bez kursów 103,6 proc., dla robotnika o niepełnej szkole podstawowej 102,3 proc. Ogólnie jeden rok nauki podwyższa w przemyśle metalowym wydajność o 1,7 proc. Natomiast w przemyśle poligraficznym różnica w wydajności pracy między pracownikiem o wykształceniu podstawowym i średnim kształtują się na poziomie ok. 20 proc. Znamienne zarazem, że praca robot-

nika ze średnim wykształceniem ogólnokształcącym jest mniej wydajna niż technika.

Jakby z zamysłem uwierzytelnienia swych dociekań, doc. dr Leon Leja powołując się na badania dr Eugeniusza Talejko informuje, że 69,5 proc. racjonalizatorów legitymuje się średnim i wyższym wykształceniem. Dodajmy też: wynalazcy posiadający wykształcenie podstawowe stanowią 4 proc., racjonalizatorzy zaś 35 proc. Nie trzeba mieć zbyt docieklivego umysłu by wszystkie te fakty skalkulować, by na początek skalkulować korzyści w odniesieniu do każdego stanowiska pracy, do każdego wydziału i zakładu.

Korepetycje dla autorów haseł

Zdobądźmy się raz na prawdę w oczy.

Nasz system oświaty jest tak skonstruowany, że znaczną część odpowiedzi na jego efektywne funkcjonowanie ponoszą kierownicy życia gospodarczego, a w pierwszym rzędzie dyrektorzy fabryk i przedsiębiorstw. Z omawianego punktu widzenia była to decyzja ze wszech miar słuszną, o wiele lat wyprzedzającą współczesne wymagania. Dyrektor zakładu otrzymał bezpośredni wpływ na regulowanie złożonym procesem dokształcenia załogi.

Tymczasem zbyt często otrzymujemy sygnały alarmowe. Dlatego ten postulat w imieniu przyszłości: warto pokusić się o to, aby wszystkich dyrektorów doceniających oświatę robotniczą w przemówieniach i referatach odesłać na przymusowe korepetycje uświadamiające, na konfrontację z dokumentacją naukową doc. dr Leona Leja oraz innych tego rodzaju pionierów.

Nie czarujmy się bowiem!

Gdzieś pomiędzy deklamowaniem „nauka dźwignią postępu”, a konkretnym wcielaniem tego hasła w życie znajduje się bariera krótkowzrocznej polityki, wyższość doraźnych interesów, pierwszeństwo dla partykularyzmu, praktyka interpretowania przepisów w imię ułatwienia życia. O tę barierę nie tylko rozbijają się osobiste ambicje robotnika. O tę barierę zbyt często rozbijają się inicjatywy racjonalizatorów, którzy po uzyskaniu wykształcenia mieliby szansę włączenia się w problematykę wynalazczości. O tę barierę rozbijają się ci, którzy mogliby z racji podnoszonych kwalifikacji zwiększyć wydajność pracy samych dyrektorów przez zmniejszenie zebraniowego gadulstwa na temat zwiększania wydajności pracy.

Wreszcie o tę barierę rozbija się bardzo realny wkład w obraz przyszłości.

W tym miejscu potrzebne są dwie

Dokończenie na str. 2

Zbigniew Żelazki

Drogi do wolności

oraz litewską Kłajpedę. Każda kolejna ofiara stawała sam na sam wobec potęgi niemieckiej i ani razu Europa nie uznała danego faktu zabobnego za dość groźny, by na szale historii rzucić żołnierski wysiłek i żołnierską krew. Ta niechęć do stawiania oporu i krótkowzroczność sprawiły, iż również Polska znalazła się w 1939 r. samotna wobec niemieckich żądań. Mocarstwa zachodnie podobnie jak w poprzednich wypadkach niemieckiego szantażu zbrojnego, nie spieszyły by przyjąć z pomocą, zaś ze Związkiem Radzieckim, który był poważnie zaniepokojony wzrostem siły i zabobności niemieckiej — rząd Polski przedwrzesniowej ze względu na szereg obciążeń i przyczyn historycznych, społeczno-klasowych i politycznych nie mógł dojść do porozumienia. Własne zaś możliwości Polski — kraju średniej wielkości, słabo rozwiniętego pod względem gospodarczym, technicznie zacofanego i ubogiego — nie zapewniały możliwości skutecznego przeciwstawienia się agresji.

Z ówczesnych wydarzeń, które zrodziły tak katastrofalne skutki, Polska wyciągnęła trwałe wnioski, widząc dla siebie śmiertelnie niebezpieczeństwo w słabości i samotności i czyniąc wszystko, by nigdy już więcej nie znaleźć się w sytu-

cji wrzesniowej. Stąd ogromny nacisk, jaki kładziemy w swojej polityce na trzy sprawy: ścisły sojusz ze Związkiem Radzieckim, nieustanny rozwój ekonomiczny i techniczny mocy kraju oraz stała czujność wobec wydarzeń rozgrywających się w Niemczech.

Naszym zdaniem, działamy tu nie tylko w naszym własnym interesie, lecz w interesie Europy. Nie tylko nas, lecz całą Europę kosztowało zbyt wiele krwi naprawianie na polach bitew 5,5-letniej wojny, wszystkich politycznych przeoczeń, zaniedbań i błędów popełnionych wówczas, gdy agresji niemieckiej można jeszcze było zapobiec.

Racjonalne wyważenie wkładu, jaki wniosł naród polski w zwycięstwo narodów Europy nad hitlerowskim faszysmem, nie jest rzeczą łatwą. Jednakże ocenianie wagi poszczególnych polskich działań poprzez porównanie ich z całocią wy siłku niezbędnego do pokonania III Rzeszy jest całkowicie możliwe. Oczywiście, wobec ogromu siły i materialnego rozmiaru wkładu wielkich mocarstw koalicji antyhitlerowskiej trudno mówić o szczególniej, bądź istotnie wielkiej wadze wkładu Polski która ze swoją 35-milionową w 1939 r. ludnością stanowiła zaledwie 2 proc. ogółu sił ludzkich zaangażowanych przez koa-

licję w walce. Pamiętać należy jednak, że oprócz takich mocarstw jak ZSRR czy USA, których olbrzymi wkład w wojnę wyraża się tym, że każde z nich miało około 10 milionów żołnierzy — trzecią decydującą siłą były narody średnie i małe, a wśród nich właśnie Polska. Ta trzecia siła — wysiłek kilkunastu małych i średnich narodów — mierzy się łącznie liczbą około 7 milionów żołnierzy antyfaszystowskiej wojny.

Ze wszystkich narodów Europy, które zbrojnie walczyły z Niemcami, Polska walczyła najdłużej, bo bez przerwy od 1 września 1939 roku do 9 maja 1945 r., a więc przez 2078 dni. Zająta przez wroga już w pierwszym okresie, znajdowała się Polska pod szczególnie dotkliwym i wyniszczającym naciskiem okupanta, co niewątpliwie osłabiało i paraliżowało jej siły. Jednakże głęboki patriotyzm i wola walki sprawiły, że opór w Polsce był — jak w żadnym innym kraju Europy — zjawiskiem powszechnym. Brały w nim udział wszystkie warstwy społeczne — setki tysięcy, miliony ludzi. Niezwykle też różnorodnie były formy tej walki.

Obiektywna ocena ich skuteczności jest trudna z tego względu, iż szkody wojskowe i ekonomiczne zadawane przeciwnikowi nie zawsze są w pełni wymierne w liczbach, gdyż, prócz materialnych, grały wówczas również ogromną rolę czynniki strategiczne moralne i polityczne. W dalszych artykułach postaramy się rozpatrzyć kilka aspektów polskiego wkładu w zwycięstwo.

Taki jest człowiek

Bardzo możliwe, że do wiele mówiących słów „komputer”, „transzystor”, „laser” dojdzie nowe: „nitinol”. Nitinol — jeśli wierzyć temu, co dość skąpo na razie o nim napisano — jest stopem niklu i tytanu, obdarzonym osobliwą właściwością: ten metal potrafi pamiętać swój kształt. Jeśli przedmiot wykonany z nitinolu zostanie w jakiś sposób zdeformowany (na przykład skrecony lub zgnieciony), wystarczy go ogrzać, aby pod wpływem temperatury powrócił do swojej właściwej postaci.

Wstrzymajmy się na razie z dawanym pytań zaczynających się od „dlaczego”, „jak”, „w jaki sposób” itp., gdyż nielato jest o odpowiedź na te pytania. M. in. na to, jak wyjaśnić ową szczególną właściwość nitinolu, ani też w jaki sposób wykonanemu z tego stopu przedmiotowi nadaje się ten pierwotny, trwały kształt.

Być może gdzieś o tym już napisano, albo też — co wydaje się bardziej prawdopodobne — rzecz cała z różnych względów utrzymywana jest w tajemnicy. W każdym razie z omawianym wynalazkiem związane są duże nadzieje. Można przecież, jak uważa jeden z projektodawców, wykonać z nitinolu antenę długości chociażby kilometra, zwinąć ją następnie w niewielką kulę i ją strzelić w przestrzeń kosmiczną, gdzie pod wpływem promieni sł

necznych przybrałaby swoje pierwotne wymiary. Można pomyśleć o umieszczeniu na Księżycu domków — osłon z nitinolu, uprzednio sprasowanych, następnie zaś „samoodbudowujących się” w upale księżycowego dnia.

Zanim jeszcze o nitinolu stanie się coś więcej wiadomo, może na poczwyczyć swoją wyobraźnię i przeegzaminować swoją fantazję, przy wynajdywaniu różnych możliwych zastosowań nitinolu w Kosmosie i na Ziemi. Uprzedzam, że może się to okazać wcale nie takie łatwe, jak by się to na pierwszy rzut oka wydawało. Nie należy się jednak zrażać, ani krępować tym, że coś jest „możliwe”, a coś innego „nie jest możliwe”. Myśl o stopie metalu, powracającym samorzutnie do uprzednio nadanego mu kształtu, również zaopatrzonego była w ludzkiej świadomości w pieczętkę „niemożliwe”. Niektórzy z Czytelników i teraz być może nie mają pewności, czy wiadomość ta nie jest zmyślona — tym bardziej, że lojalnie przedstawilem na początku ubóstwo informacji, na której się oparłem.

W gruncie rzeczy jednak nie ma znaczenia, czy idea takiego stopu została już zrealizowana, czy też dopiero się rodzi. Przecież najsmielsze marzenia z księżek typu „science — fiction” z czasów poprzedniego pokolenia zostały już zrealizowane lub też są w fazie realizacji. Tak samo będzie z „metalem, który pamięta”.

Skoro bowiem człowiek coś sobie umyśli — nie spocznie, dopóki tego nie dopnie. Taki już jest.

ELEKTRON

Adwokat kwalifikacji

Dokończenie ze str. 1

informacje wypełniające obszar, o którym mowa.

Pierwsza: średnia krajowa wykształcenia kadr pracujących w przemyśle (patrz spis kadr — 1964 r.) wynosiła 7,4 lata, czyli mniej niż zasadnicza szkoła zawodowa. Wniosek: średnia arytmetyczna wydajności pracy kształtuje się automatycznie na poziomie najniższym dla kadry wykwalifikowanej.

Druga: w latach 1950—55 (cytuje my za dr J. Kluczyńskim) szkoły zawodowe ukończyło w Polsce 864,3 tys. osób, a szkoły wyższe 147 tys. absolwentów. podczas gdy w latach 1955—60 gospodarkę narodowa zasililo jedynie 451,3 tys. absolwentów szkół zawodowych i 96,2 tys. absolwentów szkół wyższych. Wskaźniki te ulegają poprawie w 5-leciu 1961—65, ale mimo to deficyt w zakresie zaspokojenia potrzeb gospodarki narodowej na kadry wykwalifikowane wynosił w ostatnim 5-leciu blisko 60 tys. osób z wyższym wykształceniem i ponad 150 tys. osób ze średnim wykształceniem.

Wnioski w sprawie przyszłości pozostawiamy czytelnikom, chociaż można założyć, że właśnie te badania mogą zdopinguować do refleksji tych, którzy skłonni są fetyszyzować praktykę w zawodzie — oczywiście, zarazem przesadnie na niekorzyść nauki.

JERZY KOCHAŃSKI
JACEK KUŹMIN

Dr Michał Białokoz, lekarz medycyny z Poznania uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 roku jako obrońca Warszawy. Od wybuchu Powstania Warszawskiego, to znaczy od 1 sierpnia 1944 roku, był komendantem szpitala przeciwgruźliczego przy ul. Żurawiej 31 i komendantem punktu opatrunkowego przy ul. Wilczej 29a. Po upadku Powstania został szefem ewakuacji szpitali warszawskich.

Dzisiejszym piątym odcinkiem kończymy druk wspomnień dr. M. Białokoz z tego okresu.

Chyba 6. X. 1944 r. jechałem rowerem wracając ul. Marszałkowską z przegladu szpitali. Na rogu Wilczej żołnierze Wehrmachtu układali w duży stos amunicję wydaną przez powstańców po kapitulacji, przeważnie granaty. Kiedy minałem tę grupę i znalazłem się w odległości około 50 m, usłyszałem nagle bardzo silną detonację, po której nastąpiła seria wbuchów. „Dodałem pedałów” dojeżdżając do rogu ul. Żurawiej, podczas gdy dokoła mnie zaczęły świstać i padać odłamki metalowe i części ludzkich ciał; osmalone kawałki czaszek, nieraz z uchem, całe kończyny dolne, czasem z kawałkiem miednicy, strzępy tułowia, kończyny górne, dlonie, jelita... — niektóre z tych strzępów zawisły na gałęziach drzew — wyprzedzały mnie, inne leżały na ziemi.

Dojechałem pedem do Szpitala przy ul. Żurawiej 31, bez najmniejszego draśnięcia, ale pod silnym wrażeniem niespodziewanego zdarzenia. Okazało się, że wybuchy bardzo wrażliwe na manipulację i uderzenie granaty powstańcze, rozrywając na strzępy żołnierzy układających te nietypową amunicję.

Przed brama Szpitala stał starszy wachmistrz żandarmerii niemieckiej z wyrazem przerażenia na twarzy.

Zapytał mnie co się stało. Wytlumaczyłem mu. Wówczas powiedział chybła, aby coś powiedzieć: „No, za długo tu już siedzicie! Jeżeli za



Zdjęcie przedstawia pociąg przeznaczony dla szpitali Warszawa II i Warszawa III w czasie postoju na stacji Warszawa-Towarowa. Po lewej stronie widać autora wspomnień, wydającego dyspozycje pielęgniarce. Po prawej stronie widać osoby z personelu Szpitala oraz starszkę należącą do podopiecznych. Pośrodku — dwie pracownice szpitalne z opaskami PCK.

Zdjęcie to zostało podane przez pomyłkę w dziele pod redakcją E. Serwańskiego pt. „Życie codzienne w Powstańczej Warszawie” z objaśniającym napisem „transport do obozu”; tę pomyłkę autor wspomnień pragnie tą drogą sprostować.

Fot. — Archiwum

Michał Białokoz

Wspomnienia lekarza z Powstania ⁽⁵⁾

trzy dni nie wyjedziecie — to was podpalimy!” Odpowiedziałem mu: „Podpalajcie zaraz — przecież to wy palicie Warszawę. Wyjedziemy wtedy, kiedy spełnicie swoją obietnicę dostarczenia środków transportu”. Rozmowa toczyła się w języku niemieckim. „Ach, ja sobie żartowałem — odparł — przecież to nie my podpalamy domy”. — „A kto?” zapytałem. „Nie wiemy — odrzekł — pewnie komuniści” Nonsensu tego tłumaczenia nie potrzebuję chyba podkreślać. Notuję wiernie i dosłownie dialog.

W imię prawdy trudno mi przemilczeć, że widziałem któreś noce przy ul. Żurawiej jak palili się jeden z domów i żandarmeria niemiecka gasiła i ugasiła pożar w zarodku. Znalazłem się tam przypadkowo. Potwierdza to moje przekonanie, wyrażone poprzednio, że w dyscyplinie niszczycielskiej i w dyscyplinie w ogóle coś się u Niemców popsuło. „Nie wiedziała lewa ręka co czyni prawa”. Był bałagan.

Niemcy byli już zdemoralizowani i zrezygnowani wojskowo. Widać było, że czuli nieuchronnie zbliżającą się klęskę od strony frontu wschodniego. Poza tym po prostu bali się zasadzek w opustoszałym mieście, które przedstawiało już wtedy labirynt ruin. Wśród nich snuli się jacyś dla nich nieuchwytni ludzie, nierozpoznawalni, znikający nagle wśród stert zrujnowanych murów i w piwnicach, połączonych ze sobą „na przestrzał”.

Jeszcze resztki automatycznego porządku, jakże w owej chwili wypaczone, utrzymywały namiastkę dyscypliny, ale dawała się wyraźnie zauważyć dezorientacja, rezygnacja i rozprzeżenie.

Całe szczęście, że Niemcom starczyło dyscypliny dla wykonania zobowiązań wobec PCK i ewakuowania naszych szpitali.

Może 3. X. 1944 r. rozpocząłem wizytę Szpitala przy ul. Żurawiej 31, byłem na parterze, kiedy wpadła na sale chorych pielęgniarka Halina Gutmanowa i zwróciła się do dr Karaś-Brzozowskiej, prosząc ją o natychmiastowe pójście z nią do przedpokoju. Na pytanie — dlaczego? — odpowiedziała, że sprawa jest bardzo pilna. Lekarka natychmiast wyszła, ale po chwili i ja zostałem w podobny sposób wezwany.

Okazało się, że z okna przedpokoju wychodzącego do tzw. ślepego studni domu wpadały długie języki ognia, grożące pożarem całego budynku. Widocznie zostały rzucone substancje zapalające. Chorzy o nich nie dowiedzieli. Od razu sami z pomocą zmobilizowanych najbliższych znajdujących się osób szybko ugasiłmy pożar.

Kilka dni później, może 8. X. 1944

roku, wybuchł w nocy pożar, tym razem na górnych piętrach. Zarządziłem natychmiastowa ewakuację do przeciwnych budynków, która odbywała się wśród wrzasku i lamentu starsuszek. Znaczna ich część rezydowała w naszym Szpitalu — zebrana z terenu. Były ataki hysterii, powstrzymane lapidarnymi, zdecydowanymi słowami jednego z lekarzy.

Po tym pożarze pozostały tłące się już stale zarzewia w belkach drewnianych stropów (dom był stary) na górnych piętrach.

*

18 października 1944 r. samochody ciężarowe wojskowe niemieckie odwoziły na stację Warszawa-Towarowa (dziś jest to dworzec osobowy Warszawa-Główna) wszystkich podopiecznych, personel i sprzęt szpitali, w celu przewiezienia ich dwoma pociągami sanitarnymi do Krakowa.

Rozlokowaliśmy się w hangarze towarowym z dziurawym dachem. Zaczął padać deszcz i dach nieco przeciekał, co nie przysparzało dobrego nastroju, tym bardziej, że po ciągi sanitarne nie zostały jeszcze podstawione.

W tej sytuacji zażądaliśmy rozmowy z przedstawicielem władz niemieckich. Przybył Oberstabsarzt — nazwiska jego nie znam. Rozmowa odbywała się na zderzaku ślepego toru pod gołym niebem. Mówiliśmy po niemiecku. Zażądaliśmy dostarczenia pociągów — zgodnie z umową.

Niemiec odpowiedział: „Skądże wam weźmie?” Na to ja odezwałem się po niemiecku, że jeżeli wojsko niemieckie nie może nam podstawić dwóch obiecanych pociągów sanitarnych, to prosimy o umożliwienie nam zwrócenia się do Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża telegraficznie z prośbą o przysłanie nam 2 pociągów sanitarnych a na pewno nam nie odmówi.

Oberstabsarzt zachnął się i oświadczył, że jednak on wszystko zrobi, żeby pociągi zostały podstawione.

Następnego dnia, tj. 19. X. 1944 roku, rano wiechały powoli na tory dwa improwizowane pociągi sanitarne, ogrzewane piecykami obsługiwany w każdym wagonie przez starego wiekiem żołnierza Wehrmachtu.

Pociąg zawierający więcej wagonów był przeznaczony dla grup szpitali Warszawa II i Warszawa III. Z krótszego pociągu miał korzystać szpital Warszawa I.

Załadowaliśmy chorych, rannych i podopiecznych, personel i sprzęt do wagonów. Przenocowaliśmy wszyscy już w wagonach. Rano dnia 20 października 1944 roku podstawiono parowozy i pociągi ruszyły.

ku Wielkim i Pawłowicach w powiecie Leszno, a także w samym Lesznie.

O ich działalności pisze Stanisław Adamczyk w „Tygodniku Kulturalnym” stwierdzając, że setki przykładów obcowania z poezją na co dzień — to fakty, których oświatowego znaczenia nie sposób przecenić. Ich istnienie ma kapitalne znaczenie dla sytuacji kultury w naszym kraju.

„I wbrew głoszonemu tu i ówdzie pogłodom — czytamy — nie jest to jedynie forma zastępcza kulturalnej rozrywki, znikająca w momencie kontaktów z teatrem zawodowym czy telewizyjnym. Ruch ten jest manifestacją artystycznych zamiarów i intelektualnych aspiracji człowieka aktywnego.

*

W „Prawie i Życiu” Wanda Falkowska pisze o „Psim problemie” wywołując, że zamiast wprowadzać, co się proponuje, obowiązek ustawicznego wyprowadzania wszystkich psów w kagańcach i na smyczy — należałoby przyjąć zasadę: za psa odpowiada właściciel znający go najlepiej, i to nie tylko w teorii, jak się często zdarza, ale natychmiast placąc (jeśli lekceważy sobie cudzy spokój i bezpieczeństwo) słoń karę, do której wymierzania upoważniona powinna być milicja. „Kultura” kontynuuje cykl „Żywot człowieka poczciwego i niepoczciwego w PRL”; tym razem Stanisław Podemski przedstawia Polaka, który się prawnie w najrozmaitszych sprawach.

LEKTOR

Przeglądamy Prasę

ZGODA RUJINUJE!

Przyzwyczailiśmy się mówić, że zgoda buduje. Coś przeciwnego (jak w tytule) twierdzi Jerzy Ambroziewicz w „Argumentach”. I też ma, niestety, słuszość. Dlaczego?

Zapewne nie tylko autor tej publikacji zaobserwował, jak w pewnych okolicznościach potakiwaniu towarzyszy rozkładanie rak, co staje się niepokojące w zestawieniu z sytuacją, która je wywołuje. Autor podaje przykład pewnego pracownika, który dochodził swych niewątpliwych racji w imię elementarnej sprawiedliwości. Decyzja, z którą ów pracownik nie mógł się zgodzić była rezultatem niezbyt szczęśliwego przepisu, więc udal się tzw. drogą służbową z interwencją do osób stojących wyżej w hierarchii.

Już na wstępie — pisze autor — spotkało go bardzo mile przyjęcie ze strony bezpośredniego szefa.

— Zgadzałem się z wami — powiedział szef — to co ma was spotkać jest rzeczywiście krzywdą i bzdurą, ale nie-

stety coś ja na to mogę poradzić, to nie ode mnie zależy.”

Obiecał jednak interweniować u swego przełożonego. Temu referował sprawę przełożając, że to krzywdą i bzdurą. Przełożony zgodził się z tym, stwierdzając jednak: coś ja na to mogę poradzić...

„Po paru dniach — pisze autor — kilkanaście osób poznało tę sprawę, było w pełni zgodnych co do jej niewłaściwego przebiegu i kompletnie bezradnych, by móc skorygować cokolwiek. Tak rosło porozumienie i solidarność kolejnych szefów ze swymi podwładnymi, odklepywany był refren o całkowitej zgodzie, która wymagała aktywności lecz po której następowała beczynność. Od ciągłego powtarzania o bzdurze i krzywdzie rosły tylko o nich wyobrażenia, bo sama krzywdą i nonsens pozostawały w tych samych rozmiarach. Ani się od tego potakiwania nie zwiększały, ani nie kurczyły.”

Nie sposób się nie zgodzić z autorem, że należy w tej sytuacji powiedzieć: albo przestaniecie się ze sobą zgadzać, albo zgadzając się nie bądźcie beczynni. Łączenie w takiej sytuacji dwóch gestów — potakiwania i rozkładania rak — jest objawem najgorszego oportunistu. I jeszcze jedno — niepotrzebna jest i wręcz szkodliwa taka zgoda, która miałaby rujnować.

NAGRODA 5 000 000

O nie budującej niezgodności poglądów, pisze w „Walce Młodych” Lech

Borski, przypominając problemy Drezdenka w powiecie Strzelce Krajeńskie, któremu w zeszłym roku przyznano nagrody w wysokości 5000 000 zł za pierwsze miejsce w konkursie o tytuł mistrza gospodarności. Tylko że dotychczas ani jeden grosz nie wpłynął do kasy miasteczka.

Niektórzy fundatorzy nagród chcieliby bowiem, żeby władze miasta inaczej spożytkowały te fundusze niż same zamierzają. Tak więc Centrala Rolniczej Spółdzielni „Samopomoc-Chłopska” chciałaby swą dotację (3 mln zł) przeznaczyć na dofinansowanie budowy domu towarowego i gospody, natomiast władze i mieszkańcy Drezdenka pragną za tę sumę wybudować przychodnię zdrowia. Spór trwa.

„Szary obywatel Drezdenka — pisze autor — twierdzi, że nagrody nie było, bo na miejskie konto pieniądze nie wpłynęły. Drezdenko startowało w kolejnym konkursie, ale już bez większego powodzenia.”

W gabinecie przewodniczącego Prezydium MRN pozostał tylko dyplom, głoszący iż Drezdenko jest „Mistrzem Gospodarności”.

„ZACZEK” — I INNE...

O gospodarności studentów i jej rezultatach pisze w „Tygodniku Demokratycznym” Włodzimierz Paluski, ilustrując swoje wywody głównie przykładem poznańskiej akademickiej spółdzielni usługowej „Zacek”. Praca fizyczna studentów, przypomina autor, nie zawsze była doceniana.

„Jeszcze do niedawna — pisze — jej przeciwnicy twierdzili jakoby praca fizyczna odciągała studentów od nauki. Jednak zupełnie inne efekty wychowawcze mamy w przypadku studenta pobierającego comiesięcznie z kwestury uczelnianej 500 zł, a inne w przypadku studenta, który — aby otrzymać owe 500 zł — musi pracować fizycznie choćby tylko kilka dni. Jestem przekonany, że zarobione w ten sposób pieniądze student wydaje ze znacznie większą wagą, niż te otrzymane od państwa. Spółdzielnie akademickie stały się więc praktycznie również szkołą przygotowującą do samodzielnego życia.

Studenti pracują dobrze; np. na około 4 tys. zatrudnionych przez poznańskiego „Akademika” spółdzielnia ta utrzymuje etat jednego kontrolera, który — rzecz jasna, — nie jest w stanie nawet codziennie wszędzie zajrzeć. Mimo to nie zdarzają się skargi odbiorców usług. Rozpisana zaś wśród członków spółdzielni ankieta wykazała, że ich średnia wyników w indeksach jest wyższa od przeciętnych wyników nauczania. A zatem ich nauka nie cierpi na tym.”

W POSZUKIWANIU INTELEKTUALNEJ PRZYGODY

150 tysięcy ludzi uczestniczy w Polsce corocznie w festiwalach teatrów poezji. Ponad 700 teatrów poezji poszukuje w sposób samodzielny własnego stylu i konwencji, własnej formuły. Jest pośród nich sporo także w Poznaniu i Wielkopolsce, m. in. w Poznaniu — „Pancerni” oraz teatry poezji w Krzy-